Lwów 11. Września — Nr. 108. — Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 ¼ kr. i zadopłate 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

V.

Szlachta podhorodecka.

(Ciąg dalszy.)

Do tej więc okolicy przeniesiemy się teraz kaprysem powieściowej treści wiedzeni, ruszając ślad w ślad za panem Hieronimem Kieną, który objechał już wszystkie włości, szczególniej stryjsko-samborskie, liczną szlachtę gnieżdżące, jako posłannik pana Jana Ewanielisty Drzwiowskiego w znanym już nam interesie wyszukania jakiej szlacheckiej filjacyi. Objeżdżał on wszystkie wioski, bo wieść jakaś doniosła naszemu bohatyrowi, że tam na podgórzu karpackiem istnieć kiedyś miał ród szlachecki Drzwiowskich. Mimo niewygód, do których jego potężny i dobrze wypasiony brzuch nie zdawał się być przyzwyczajony, pan Hieronim niezważając na trudy, z wielką pilnością a oględnością odbywał swoją kwerendę. Prawda że miał rude włosy, które są cechą ludzi przebiegłych i najzdolniejszych w ubieganiu się za celem zamierzonym. Objeżdżał zatem wszystkie wioski, i naprzód oddawał wizytę dziedzicowi, potem księdzu, na koniec prefektowi szlacheckiemu, a czasem całej gminie szlacheckiej, i każdemu z niej z osobna.

Było to tedy w lutym r. 177., gdy pan Kiena przybywszy do wsi Urycza, zajrzał do djarjusza podróży swojej, a odczytawszy nazwiska wszystkich wsi przez siebie zwidzonych, z niemałem przekonał się zadziwieniem, iż po tylu trudach bezskutecznych, już mu tylko dwie wioski do objechania zostało. Były to Podhorodce i Tustanowce, mieszczące w sobie liczną szlachtę. Jakoż jadąc dalej zapytał woźnicę:

— A daleko jeszcze do Podhorodec?

— Ćwierć mili wielmożny panie!

— A gdzie tam ksiądz i prefekt mieszkają?

— Pod górą, Kiczerą zwaną.

— A dziedzic gdzie mieszka?

— Ot tam na tej górze, którą widać z daleka leży zamek wielkiemi ogrodami otoczony. Był to kiedyś, zamek obronny, widać tam jeszcze fosy i bramę murowaną. Letnią porą mieszka w nim dziedzic; teraz w zimie bawi we Lwowie.

Zamilkli obydwa, po chwili dopiero ozwał się znowu woźnica:

— A proszę wielmożnego pana gdzie zajedziemy, czy do prefekta szlacheckiego, czy do księdza miejscowego?

— Do prefekta odrzekł podróżny.

Wkrótce też pan Kiena wysiadł przed chatą pana prefekta. Jakkolwiek był ciekawy, i zwykle każde szlacheckie obejście oglądał, tym razem dla zapadającego już zmroku, niemógł się przypatrzyć ani okolicy, ani otoczeniu chaty, należącej do pana Jacentego Makogona Podhorodeckiego, herbu Sas, prefekta natenczas szlacheckiego we wsi Podhorodcach. Zajrzał tylko kilka sztuk rogatego bydła, jak wracało od wody po zamarzniętem błocie, kilka kamieni porozrzucanych po podwórzu, i szopkę, z której wyglądały proste sanie i kilka wozów gospodarskich.

Wszedł wreszcie do chałupy kurnej przez sień, w której znajdowało się parę sztuk nierogacizny. Przy piecu z którego rozchodził się dym po całej świetlicy, siedziały zajęte przędzeniem żona prefekta i dwie jej dorosłe córy. W izbie nic nie było prócz parę łóżek prostej roboty, pokrytych lichą pościelą, dużego stoła z ławą; po ścianach wisiały obrazki z wizerunkami Ś. Mikołaja, Matki boskiej częstochowskiej, między któremi najlepiej odbijały męki piekielne, jaskrawemi barwami oddane.

Na ławie za stołem siedział pan prefekt z zwieszoną głową. Wyglądał jak prawdziwy szlachcic karpacki, czoło miał wysokie, nos dlugi, z dużą na nim brodawką, zęby jakby porozkładane w kilka szeregów, na głowie zaś ledwie kilkadziesiąt włosów. Stała przed nim flasza z prostą wódką ze szkła zielonego, sianem zatkana, i kilka kubków, co dowodziło, że gospodarz miał przed chwilą gości w sprawach urzędowych i że sobie nieco podochocił.

Do obrazu całości jaki uderzył podróżnika naszego, dodać jeszcze należy, że nad jednem z łóżek zawieszona była lampa ofiarna, ale niestety! dla czasów zbyt krytycznych zupełnie próżna; na samej zaś ścianie, na prostym sznurze wisiała szabla z wielkim furdymentem, której pochwa zardzewiała zdawała się smutno rozpowiadać, jak już dawno pozostaje w kącie nieużyteczną ruchomością.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus panie bracie! ozwał się podróżny.

— Na wieki wieków amen! odpowiedział gospodarz podnosząc się z miejsca swego.

— Przepraszam was panie bracie i waszą rodzinę, że staję się natrętnym, ale tu podobno we wsi o wygodę trudno a o waszej gościnności z daleka już słyszałem.

— A jużciż! co człowiek ma, tem rad! Może waszmość pozwolisz sobie wódeczki?

— A któżby odmówił z ręki gospodarzarza.

Pan prefekt wychylił swój kielich ad guttam jak to mówią, toż samo uczynił podróżny.

— Lecz kogoż mam okazją witać?

— Jestem Hieronim Kiena! również nobilis.

— Jak proszę pana?

— Hieronim Kiena.

— A ha! to pan pewnie przybywasz z innych krajów cesarzowej Maryi Teressy.

— Przeciwnie panie bracie! jestem Polakiem i szlachcicem; wracam teraz do Warszawy, zkąd przed parą tygodniami wyjechałem.

— Opowiedz że mi waszmość co tam słychać? Czy to prawda, że król mundury dla szlachty zaprowadzić zamyśla; czy prawda że pasy tak staniały że za trzydzieści złotych wcale porządny dostać można? czy prawda że król był we Lwowie, ale tylko przenocował? czy prawda że za nami pisał do cesarzowej, abyśmy nadal mieli przywileje nasze?

Pan Kiena zasypany gradem pytań, spadającym nań jakby z rogu obfitości, odrzekł z flegmą:

— Rozmówimy się o wszystkiem, ale pierwej muszę się nieco rozmarznąć.

Co rzekłszy obrócił się ku niewiastom i zbliżył się do pieca.

Gospodarz tymczasem przywoał do siebie obie córki.

— Anastazjo! zróbno na prędce jaj dla jegomości z obtłóczoną łupą. A ty Maryniu pobiegnij do księdza i pożycz kawałek bielszego nieco chleba.

Wydawszy takowe dyspozycje całą uwagę swoją zwracał na podróżnego, z któregoby rad jak najwięcej wydobyć ciekawości.

— Oto widzicie mój panie! mówiła pani Podhorodecka przędąc dalej; to wszystko co tylko w tej wsi oczy dostrzedz mogą i lasy i pola i pastwiska i góra nawet zamkowa, wszystko to nam się należy. I już od paruset lat odebrano nam to tak sromotnie, że już mój dziad, a znowu pradziad mego męża, tak zaczęli biedować jak my teraz. Ja bowiem trzeba jegomości wiedzieć, jestem także Podhorodecka z domu, ale z Doroszewiczów, a moja matka była Podhorodecka z domu ale z Odemczaków, a moja babka była Podhorodecka z domu, ale wystaw sobie pan ze sprawiedliwych Czarnych; a to przecie jak cały świat wie, najstarszy między nami bywał ród. Niepotrafiłby też wielmożny pan przyczynić się tam gdzieś za nami, aby to wszystko o czem mówiłam, było nazad nasze?...

A ruchy pani Podhorodeckiej tak były przy tem dumne, jak gdyby była przynajmniej kasztelanową krakowską.

Na szczęście pana Kieny przyszła jajecznica na stół, którą spożywszy i kilkakrotnie oblawszy wódeczką, spokojniej już spoglądał na ogień w piecu rozdmuchany i przygotowane dlań siano na nocleg. A chcąc gospodarstwo ująć sobie, i myśl ich na inną nakierować drogę, dobył z zanadrza Matkę boską na blasze rytą, i ofiarował ją matce; córki zaś obdarzył ładnemi wstążkami. Dla pana brata dobył wina z podróżnego puzderka, i łyknąwszy z nim w przyjaznej komitywie, rozpoczął zwykłą swoją kwerendę.

— Ze słów wyrzeczonych przez wasciną małżonkę przekonuje się, że wasza familja panie bracie jest bardzo rozrodzona.

— I bardzo starożytna panie bracie!

— Wedle słów jejmościnych macie różne przydomki.

— Wszystkich przydomków naszych nie zmieściłaby żadna księga cerkiewna.

— A czy niema też Podhorodeckich z przydomkiem Drzwiowski.

— Są panie bracie, ale się piszą nie po polsku, tylko po rusku: Dwirski. Linia ta oddzieliła się już od trzech pokoleń.

— Dwirski, to nie Drzwiowski.

— Ujdzie za to samo! ręczę za to waszmości. Oni się pana dawno spodziewają, bo im wróżka jakaś wywróżyła, że ich kiedyś ma jakieś szczęście zdybać, co przyjdzie aż z Warszawy. Ucieszą się bardzo, jak im doniosę.

— Jutro panie bracie będzie dosyć czasu; odrzekł Kiena, nie zupełnie zadowolony z rezultatu swojej kwerendy.

— Musisz też Waszmość wiedzieć, że i na Wołyniu są Podhorodeccy; mianowicie jest tam pan Ignacy, a tak bogaty, że u niego konie z marmurowych jedzą żłobów.

— Słyszałem! słyszałem ja coś o nim! wyrzekł pan Kiena roztargniony, a po chwili dodał: Ale dla czegoż ta linja od trzech pokoleń przybrała przydomek Dwirski?

— Dziad ich pełnił dawniej na zamku tutejszym usługę piwnicznego, i ztąd go nazwano Dwirskim i tak już zostało.

W tej chwili drzwi się otworzyły i nowy gość wszedł do szlacheckiej chaty.

We wsi każdej, a mianowicie we wsi ustronnej, wszystko jest zjawiskiem, a każda nowa wieść piorunem się rozchodzi. Owóż rezydent zamkowy, pan Łobeski, zasłyszawszy o przybyciu jakiegoś nigdy pierwej niewidzianego gościa, ciekawością gnany pospieszył do prefekta; a miał też przy tem lekkie posądzenie, ażali nie będzie to jaki palestrant, który zjechał aby szlachtę namawiać do procesu naprzeciw dziedzicowi.

Poznanie poszło łatwo bardzo, zwłaszcza że dobro-

duszne rysy pana Kieny wnet zniszczyły podejrzenie pana Łobeskiego, do czego nie mało przyłożyło się dobrze zaopatrzone puzderko podróżne.

Rozmowa zaczęła się jak zwyczajnie od pogody, od skarg na złe drogi, na brak wygód na tym trakcie, na ubóstwo, które bierze górę. Ztąd przeszła na okolicę i jej mieszkańców, i na miejsca, które podróżny zwiedzać jeszcze zamyśla.

Pan Łobeski stary ale jary jak to mówią, lubił pogadankę i towarzystwo, rozmiłował się bardzo w rozmowie statecznej pana Kieny, to też po kilku lampeczkach przyszło do tego, że zaczął go serdecznie zapraszać, aby dłużej gościł w Podhorodcach, a nawet w zamku zamieszkał. Nakoniec zrobił mu przyjacielską propozycją, aby z nim nazajutrz pojechał na łowy, na które się właśnie wybierał z liczną drużyną leśnych i leśniczych.

— I daję waści panie bracie trzy gatunki łowów do wyboru. Albo wyjedziemy na ogromną sianożęć Szczawinami zwaną, aby około niej na głuszce polować; albo spuścimy się niżej w las ku granicy hrabstwa Skólskiego gdzie zwykle przebywają jelenie; lub też pojedziemy nad Urycz, pod którym zwiedzimy sławną skałę, w której się znajdują resztki fortecy Tustań, a później pomkniemy się do tamtejszych borów, w których są liczne dziki i niedźwiedzie. Na każdy wypadek polowanie pójdzie nam jak najlepiej, bo mam wcale niezłe pieski.

— Jako miłośnik nie fatygujących, ale oraz pewną emocją sprawujących łowów, korzystać będę z łaskawej wacana dobrodzieja propozycji. A jeżeli wolno mi się odezwać ze zdaniem mojem, radbym być świadkiem skrojenia kurty niedźwiedziom i dzikom, co zarazem da mi sposobność oglądać po drodze szczątki fortecy Tustań.

Powstał nareszcie pan Łobeski, i pożegnawszy podróżnego pospieszył do siebie, aby wszystko przygotować do jutrzejszych łowów, któremi stary wyjadacz i zapalony myśliwy cieszył się już naprzód. Jedną tylko kłopotał się myślą: czy też przyjedzie gorąco przez niego oczekiwany, dawny z konfederacyi barskiej towarzysz i rzetelny a serdeczny przyjaciel, którego się codzień spodziewał, i dla którego to właśnie jako dla zawołanego myśliwca chciał sute sprawić łowy, odwlekane z tej przyczyny od dnia do dnia.

Przyszedłszy na zamek zastał już zgromadzonych borowych. Najznakomitsze zajmował między niemi miejsce Platon, jako najdoświadczeńszy w sztuce łowieckiej.

— Jak się masz poczciwy Platonie? przemówił do niego. Niewiem czy przyjedzie nasz pan orderowy, chociaż w ostatnim liście swoim na dziś się przyrzekł; ale polowania już dalej niebędę zwlekał, mamy bowiem innego znakomitego gościa aż z samej Warszawy. No! a powiedzże mi czy huculy kute na ostro?

— Kute wielmożny panie! i jeżeli Boruta nie zaczaruje to się dobrze polowanie udać powinno.

— Jedziemy tedy na Urycz, bo nowo przybyły gość sam sobie obrał łowy w tej stronie.

— Dobrze i w Uryczu! ale kiedy wielmożny pan wybrał na jutro czarne pole, to aby uniknąć spudłowań, jak zacznie nasza łaja spąchiwać, trzeba będzie najlepsze psy, jako Organa, Dunaja, Pośwista ubrać w panusze; a Lutni i Makrobi naszyjniki powkładać.

— Zróbże to wszystko jak się należy bo to z czarną zwierzyną niema żartu. Myszki niebrać gdyż niedawno na skwinancją chorowała. I żeby mnie nie brakował żaden z leśniczych i borowych. Panu Jacentemu zaś, który ma tylko szablę, trzeba dać jednę z strzelb skarbowych. Najszczególniej nakazuję wam, aby się raniutko zgromadzić, bo to wysoki las, a wszędzie prawie srokata ziemia.

— Wszystko będzie już dobrze! Ale trzebaby żeby wielmożny pan dał kwitek do karczmy na wódkę, jabym ją dzisiaj jeszcze zlał do baryłki: bo to bez wódki dziś myśliwy nic w lesie nie udzieje.

Pan Łobeski uznał prawdę, dał przeto kwitek na wódkę. A gdy się do łóżka położył, marzył noc całą o niedźwiedzich tropach.

VI.

W Żółkwi.

Polak, który się cieszy najczyściejszą ze wszystkich sławiańskich narzeczy mową, i ma, co mu ogólnie przyznają, najpiękniejsze cnoty i zalety: bitności i gościnności, żywi do tego w sercu swojem silne i szlachetne przywiązanie do kości praszczurów swoich. Te to uczucia wiążą rolnika do własnej zagrody, to, a nie co innego sprawiało u nas, że najwięcej rody nasze historyczne przywiązywały się silnie do pewnych miejsc, nie mających zresztą nic w sobie szczególniejszego. Tak to dobrze w ojczyźnie zasłużeni Żółkiewscy pokochali Żółkiew. Obdarzyli ją nazwiskiem swojem, wznosili w miejscu tem wspaniałe gmachy i świątynie, rozprzestrzeniali obręb miasta przez siebie założonego, w niem wreszcie kazali się grzebać. To ich przywiązanie do Żółkwi było niejako rękojmią i zadatkiem dla przyszłych miasta i włości dziedziców; to też Daniłowicze i Sobiescy serdecznie miłowali Żółkiew. Nie jest tu zamiarem moim opisywać gród ten. Żółkiew nieszczęśliwa w ośmnastym wieku, szczęśliwszą była na papierze, na którym rozmaici pisarze i malarze to opisując, to malując i rytując, zachowali przynajmniej pamięć jej dawnej znakomitości.

Ostatnią prawie, a przynajmniej największą miasta tego dobrodziejką była matka króla Jana. Waleczny król Sobieski z serca kochał matkę swoją, tę szanowną matronę, dla której wszyscy z największą byli czcią. I jakże mogło być inaczej? Była to pani pełna światła, rozumu, cnót domowych, pobożności i miłości do kraju ojczystego,

*

którą serce jej do śmierci pałało. Do ostatniej niezmieniona chwili, kazała się jak najskromniej pochować, tego tylko żądając, aby mogła spocząć obok ukochanego syna swego pierworodnego, Marka. Nie tu miejsce wyliczać mnogie fundacye pobożne i miłosierne, któremi jej cały żywot był zaprzątniony, ale niech mi przynajmniej wolno tu będzie przytoczyć słowa, jakiemi na wstępie zaczyna akt fundacyi dla księży Dominikanów Żółkiewskich, słowa wzniosłością swoją i treściwością, godne ze wszech miar zastanowienia.

Tak się w tej erekcyi wyraża.

„Uważając dobrze, że śmiertelny człowiek na jeden wizerunek niebieskiego uformowany pana, nierozumnych zwierząt dla tego najbardziej przewyższa figurą i najznaczniejszemi ozdobiony jest talentami, aby podległemi skazitelności gardząc faworami, do nigdy nieprzemijających, dla których jest stworzony, garnął się roskoszy, i nabytej nie żałując z szczodrobliwej ręki boskiej pochodzącej substancyi, za wieczne — mijające i nie długo trwające dawał dostatki" i t. d.

Śmierć króla bohatyra była, śmiało powiedzieć można, śmiercią dawnej grodu tego okazałości, i jego w rzeczypospolitej znaczenia. Po tej śmierci Żółkiew mało już szczęśliwych przebyła chwil. Wprawdzie dzieci Sobieskiego przebywali w niej czasem, a nawet dwóch królewiczów leży tam pochowanych, lecz były to już ostatnie chwile, chwile gasnącego na zawsze splendoru. Ze zwłokami księżnej Bouillon, jednej z córek królewicza Jakóba, które wywieziono do Warszawy, wyruszyła, rzecby można, na zawsze dawna grodu świetność, aby już nigdy nie wrócić. Ulubione to gniazdo trzech w dziejach narodu złotym rylcem zapisanych rodów, ucichło, zesmutniało, i do wczesnej pochyliło się starości.

Mnogie też na nie spadały nieszczęścia, jedno po drugiem. Szarańcza, ognie, przechody nieprzyjaznych wojsk, świętokradzkie lekceważenie zabytków dawnych, pojedyncze zbrodnie w tej okolicy częściej zdarzające się niż gdzie indziej, rozpowszechnienie fałszywej monety; a nakoniec morowe powietrze, które kilka tysięcy porwało ludzi, nawiedzało kolejno biedne miasto, i pomału przyprowadziły je do tego stanu opuszczenia, w jakiem było w tym czasie, w którym idąc za nicią zawikłaną naszej powieści, wstąpić do niego mamy potrzebę.

Na trakcie lwowskim, najwięcej wyludnionym przez morowe powietrze, stał wówczas pusty zupełnie, walący się i lichy domek, którego zapewne właściciele wszyscy srogiej ulegli chorobie. Nikt też się nie przyznawał do opuszczonego dworku, który tym sposobem powolnemu a niezbędnemu ulegał zniszczeniu. Domek ten składał się z sieni, którą zamknąć już nie mogły drzwi pogruchotane, jęczące jak dusza w czyscu na jednym haku za każdym wiatru podmuchem, i dwóch izb. Mniejsza izba po prawej stronie tak była zawalona rumowiskiem, gliną, kawałkami cegieł, a dla braku zupełnego prawie dachu, tak zasypana śniegiem, że nietylko za mieszkanie, ale nawet za chwilowe schronienie służyć nie mogła. Druga izba dzięki kawałkom nie zupełnie rozerwanym dachu, była więcej mieszkalną, jeżeli można nazwać mieszkalną izbę, która lada dzień dzielić miała los sąsiadki swojej; bez podłogi, bez okien, bo już na nazwę okien nie zasługiwały ramy bez szkła, płachtami, tarcicami, i słomianemi wiechciami pozatykane; izba nareszcie z na pół rozwalonym piecem i ścianami tak wycieńczonemi, że podobne były do żebra suchotnika.

(D. c. n.)

Sobek z Jeżowy.

Es bildet ein Talent sich in der Stille,
Sich ein Charakter in dem Strom der Welt.
Göthe.

Że pojawienie się w kimś wieszczych zdolności nie jest tworem nauki, wynikiem wytrwałej pracy i osobistej zasługi, lecz bezpośrednim tylko objawem wrodzonych darów natury, czyli jak się autor Listopada wyraża, owocem potężnego «fiat" opatrzności: axiomat ten ustalił się od tak dawna, tak silnie w każdem rozsądnem przekonaniu, iż wszelkiego już niepotrzebuje dowodu. Poeta nascitur — utrzymywano za czasów Wirgila — poeta się rodzi — mawiamy i dzisiaj. W pierwszych już zatem chwilach żywota swego, staje się wieszcz szczęśliwą niejako ofiarą swego przeznaczenia i odbierając niezatarte namaszczenie na kapłaństwo przyszłego swego zawodu, wtedy już zamyka w skarbiec swych uczuć i marzeń i ów puhar czarodziejski, zkąd później natchnienie swe zaczerpnąć, i ów pryzmat magiczny, przez jaki niegdyś na świat i jego dzieje spoglądać ma.

Nie staje on się wprawdzie tanim okupem tym świetnym wybrańcem losu. Po rozlicznych bowiem i mozolnych próbach, po długiej i zaciętej walce, zdoła on świat i ludzkość w duchowe objąć ramiona, dostąpić szczytnego imienia ofiarnika prawdy i piękna, i osiągnąć ów wspaniały piedestal jaki mu wielkość powołania przykazuje. Zawsze atoli zawdzięcza on przytem wszystkim więcej przyjaźnym zrządzeniom losu jak swej własnej zasłudze. Pilność, wytrwałość, praca, jakiej każdy inny zawód do osiągnienia palmy mistrzostwa niezbędnie wymaga, służy prawdziwemu wieszczowi tylko do tem silniejszego i swobodniejszego podźwignienia, uwydatnienia i spotęgowania, nie zaś do utworzenia w sobie poetycznych zdolności. —

Poeta zgaduje instynktowo to co mu jest niezbędnem, czyli mówiąc językiem najświeższego utworu zacytowanego już po wyżej autora Listopada, posiada potrzebne dla się nauki intuicyjnie już. Wbrew jego wiedzy a często nawet i woli, wdziera się myśl natchniona w pierś poety, i

poruszając wszystkie tętna duszy jego, wiruje w nim tak długo, aż go zupełnie nie opanuje, nie owładnie, nie porwie i iskrą płomienistą na świat nie strzeli.

Zkądże więc dziwić się nam przychodzi, gdy czasem czysty zdrój poezyi jakby za uderzeniem czarodziejskiej rószczki Mojżesza, wytryśnie z miejsca, które się oczom naszym twardą dotąd wydawało być skałą, a jasny płomyk zabłyśnie tam, gdzieśmy najgrubsze poprzód rozumieli ciemnie?

Przypomną sobie szanowni czytelnicy, ile wrzawy narobiły przed niewielu laty dzienniki francuskie, kiedy w osobie prostego fryzyera z Agen imieniem Jasmin, ukazał się poeta, który bez wszelkiej odpowiedniej nauki, bez wszelkiego nawet powierzchownego wykształcenia, w krótkim nader czasie tak wielkie bogactwo myśli i uczuć rozwinął, iż skromne jego bez żadnej pretensyi pisywane utwory, stały się wnet własnością literatury, a imię jego przeszło nad spodziw szybko w karty dziejów i pamięć potomności. Najpoważniejsze dzienniki wołały z zwykłą francuzom przesadą: Tylko Francja, ognisko cywilizazyi może zdobyć się na podobne zjawisko, by człowiek mimowolnie w wir powszechnej oświaty pochwycony, przez same tejże oddziaływanie na się, tak wysokiego stopnia doskonałości dostąpił. Sam autor „Marzeń Poetycznych”, tyle podziwiany Alfons Lamartine, zawołał emfatycznie „Un homme de plus qui excitera l'envie de l'Europe”!

Nie myśląc wcale Jasminowi stawić tu współzawodnika, chciałbym do orzeczonej prawdy, iż urodzenie samo tworzy poetę, jeden jeszcze dorzucić przykład, poświęcając słów kilka pewnemu prostemu naszemu chłopkowi, który prócz własną pilnością uzyskanej wiadomości pisania i czytania, najmniejszego innego nie posiada wykształcenia, a który tak szczególną okazuje zdolność poetyczną, łatwość rymowania i tak przytem wielkie do poezyi zamiłowanie, iż w całej swej okolicy z rzadkich tych własności zasłynął. Nazywa on się Sebastjan Lisiczka, urodzony i zamieszkały w Jeżowie, wiosce rzeszowskiego obwodu. — Nazwałem go Sobkiem z Jeżowy, tego bowiem imienia dla swej wielkiej jeszcze młodości w całej okolicy używa.

Byron powiedział, iż więcej jest prawdziwych poetów w liczbie tych, którzy ani jednego nie napisali wiersza, jak w gronie owych, którzy całe ich pospisywali księgi. Cenił tu nieśmiertelny twórca Child-Harolda więcej czucie prawdziwe poetyczne, jak ową częstokroć tak mozolnie uzyskiwaną wprawę sklecenia kilku mechanicznie doskonałych wierszy lub rymów. Tak samo mniema Michał Wiszniewski w swych „Charakterach rozumów ludzkich“ nawodząc przytem na przykład Bakona i Niebuhra, którzy Liwiuszowi nad miar poetyczną duszę przypisują, chociaż tenże, przynajmniej wedle swej pośmiertnej sławy, ani jednego nie napisał wiersza. — Z tego też powodu ośmielam się i ja nazwać naszego Sobka poetą, chociaż płody jego nie odznaczają się doskonałością wiersza i rymu i wiele mają usterek, mianowicie zaś brak im odpowiedniego zaokrąglenia i onej mechanicznej wprawy która wedle słów Herdera i Jana PawłaRychter aż po mozolnym nowicjacie uzyskać się daje.

Do ocenienia charakteru i wartości płodów muzy naszego Sobka podaję czytelnikom Nowin następujący ustęp z listu jego do swego duchownego starannika, młodego lecz nader światłego i zacnego ks. Jędrzeja Dzikowskiego podczas jego pobytu w kąpielach zętycznych pod Spasem pisanego. Po dość długiem, lękliwem zastosowaniu posłyszanych wyrazów i myśli, przychodzi autor do swej własnej osoby; puszczając wodze swym uczuciom i myślom własnym mówi:

Teraz coś wspomnę o mojem powodzeniu,
Choć nic tak nie zaszło po Twem oddaleniu,
Dość jestem zdrowy wśród całej rodziny,
I wesołe w jej kole spędzam godziny,
Choć mi się i czasem łza w oko wciśnie,
To i uśmiechem twarz zaraz zabłyśnie.
Dla rolnika bo dość gdy go nic nie boli
I Bóg mu pozwala pracować na roli,
On tak szczęśliw w towarzystwie sierpa, kosy,
Że gdy przyjdzie święto lub błoga niedziela,
Z taką wdzięcznością głos podnosi w niebiosy,
Że znowu na tydzień Bóg mu sił udziela;
I tydzień nowy w zwykłej przepędza robocie,
Że i niezamyśli o ziemskim kłopocie.

Dalej znowu mówi z prawdziwą religijną otuchą i prostotą uczucia.

Zbiory się nam jakoś nie bardzo udały,
Trochę ich słoneczne zwarzyły upały,
Lecz ufni w opatrzność, byle jeno zdrowie,
To pewnie z głodu nie umrzem w Jeżowie.

Zakończając zaś list cały, odzywa się skromnie do czytelników:

Niech was to nie dziwi mili czytelnicy,
Żem list tak napisał nieładnie i brudno,
Ciężkie ręce od pracy miewają rolnicy,
Pięknie i czysto napisać im trudno.

Oto więc celniejsze próbki stylu i myśli naszego jeżowskiego samouka. Sądzę iż prostoty i rzewności uczucia i wyrażenia się nikt mu odmówić niezechce. Ażeby jednak szanownym czytelnikom dać zarazem i wyobrażenie o sposobie zapatrywania się jego na swiat i jego społeczne stosunki, następujący jeszcze przytaczam ustęp z wierszu jego „Słowa podzięki“ przezwanego. Brzmi on:

Gdy człowiek za szczęściem na zabój goni,
To odeń szczęście jak na przekór stroni,
Co sobie ułoży, inaczej się stanie,
Zapragnie ciszy, to burza powstanie,
A porwie za kielich żądny słodyczy,
To kielich ten będzie pełen goryczy.

Sądzę iż po tych kilku już ustępach szanowni czytelnicy przyznać mi raczą, że gdyby szczególne to uzdolnienie poparła nauka, wytrwałość i wytrawne czytanie, nasz Sobek z Jeżowy nie jednego by z owych poetów przewyższył, których tylko pożądana jaka okazja napisania szumnego panegiryku, ody pochwalnej lub jakiego wiersza „w najgłębszej pokorze poświęconego” z zwyczajnej stagnacyi wyrywa. Chciałbym jednak i przytem wynurzyć poczciwemu Sobkowi życzenie, by zaniechał raz na zawsze wszelkiego polowania na posłyszane górnolotne wyrazy i słuchał tylko pilnie rady i zdania zacnego swego przyjaciela, wzmiankowanego księdza Jędrzeja Dzikowskiego, a człowiek tak światły będzie mu się starał wyjaśnić, iż cały ów urok, który w podobnych płodach na samej tylko prostocie uczucia i wyrazu polega, pod ciężarem szumnego bombastu zupełnie niknie i cały utwor w lichą tylko zmienia ramotę.

Bez wszelkiego zatem wymuszenia, bez wyszukiwania oklepanych frazesów i wyrazów, bez zbytnich apostrof, rażących figur, i płaczliwych czułostek niech stara się nasz jeżowski poeta, bodaj dla ulżenia myślom i marzeniom i ku swej własnej rozrywce, nie ustawać w swem zamiłowaniu do poezyi,, a zasilając się w wolnych od pracy chwilach czytywaniem wzorów naszych mistrzów, niech stara się utwory swe uwolnić od wszelkiej pretensyi i wymuszenia, nadając im taką tylko barwę i cechę, na jaką się własne czucie sili, bo trafnie mówi jeden z naszych wieszczów:

Nie zewnątrz świeci wieszczom boska łuna,
Z dna ducha idą te święte promienie,
Swą duszą jęczy wytężona struna,
W sens je obrabia wiedza i natchnienie.

Poszukaj w sobie i świata i siebie,
Zdybiesz kół wiele o jednej średnicy,
Im głębiej duch twój w środek się zagrzebie,
Tem więcej bielma odłuszczysz z źrenicy.

Gdy miłość prawdy myślą rozogniona,
Rozwiedzie ciemnię rozumowej kniei,
Wtedy już poznasz że duch z swego łona,
Jak pisklę z jaja wiedzie twór z idei.

Kończąc robię jeszcze poczciwego Sobka uważnym iż jeżeli tylko piosnki jego w ustach dziewic i starcow jeżowskich twórcę swego przeżyją, będzie to już zaiste wielka i szczytna nadgroda, godna wszelkich starań i zabiegów.

W. Ł.

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D

(Ciąg dalszy.)

II.

Teraz chciałbyś zapewne, kochany czytelniku, wiedzieć, kto są ci Kozacy Dońscy, pośród których przejechaliśmy, jakie ich pochodzenie, urządzenia, bogactwo i t. d. Rzeczywiście, widząc ich wzrost udatny, twarz brunatną, włos kruczy, błyszczące oczy, ten charakter wesoły, hulacki, zamiłowanie życia stepowego, wiele śladów, tak w języku jako i w zwyczajach, polskich; nadto patrząc na urodziwe mołodyce, wysmukłe, białe, hoże, jeszcze bardziej zaostrza się twa ciekawość.

Tu więc nadmieniam, że ci Kozacy Dońscy, podobnie jak Czarnomorscy, nad-Wołgscy, Uralscy, Dunajscy i t. d. są tylko kolonizacją Zaporoża, a prawdopodobniejsza jeszcze, iż Dońscy jednocześnie z jednego początku z Zaporoskiemi wyrość musieli, i wszędzie przedstawiają podobieństwo z Zaporożem. Te same nawet u nich nazwiska rodowe spotykałem jak na Zaporożu i całej Ukrainie. Wernyhorowie, Sawy, Doroszenkowie, dotąd pod Rostowem i Aksajem zapuszczają w Donie swe sieci, lub uwijają się po stepach nad-Dońskich.

Dużo tak u nas jak i w Rossyi pisano o Kozakach, rozmaicie wywodząc ich początek i nazwisko; przeto odsyłamy cię czytelniku do tych kozakoznawców, tu treść tylko domysłów wypisując.

Już Konstanty Porfirogenita wspomina w X wieku o jakiejś ziemi zwanej *Cosachia*, po za którą odsłaniają się szczyty Kaukazkie. Lecz położenie tej Cosachii Xgo wieku zupełnie nie oznaczone, niepewne, i nie można uznać za jedno z tym ludem, pobieżnie wspominanym przez Konstantyna Porfirogenitę, Kozaków, ukazujących się w pięć wieków później, tem bardziej że tamtych siedziby leżały na samej wielkiej drodze, po której przepływały barbarzyńskie hordy z Azyi, co niszcząc wschodnią Europę, znikały same na zawsze z dziejów, nie zostawując nic po sobie, prócz trwożnego wspomnienia w podaniach ludowych.

Nowsi, upatrując wielkie podobieństwo w fizyonomii i sposobie życia pomiędzy Kozakami a Tatarami i Czerkiesami, od tych ostatnich wyprowadzają ich początek. Schnitzler, piszący Statystykę Rossyi, opierając się na domysłach Karamzyna, utrzymuje jakoby Czerkiesi, łącząc się z hordami Batego, wyszli z gór do Rusi, a osiadłszy tu, gdy potęga Tatarów została obaloną i hordy jego rozprzszyły się, utworzyli lud osobny, przesławiańszczony, a nawet ochrzcony, lecz z rysami czerkieskiemi i tatarskiemi obyczajami. Wprawdzie Kozacy, mając ciągłe styczności z Góralami i Tatarami, przejęli wiele ich zwyczajów w sposobie życia, zamiłowaniu stepów i tej swobody stepowej, bez której swe życie familijne za nic uważali. Przecież

to nie dowodzi aby sami Kozacy byli narodem Czerkieskim. Górale z wielką trudnością porzucają tak swe siedziby jako i obyczaje. Prędzej się dzieje na odwrót; mieszkańcy równin z upodobaniem przywłaszczają sobie obyczaje górali, jak tego mamy przykład na Kozakach Kaukazkich. Przyjęcie zaś religii Chrześciańskiej przez wyznawców koranu byłoby faktem tak ważnym, że historycy i kronikarze o nimby wspomnieć nie omieszkali, kiedykolwiekby to miało miejsce, zwłaszcza w epoce, gdy mnisi po klasztorach zapisywali wszystko co się tyczyło wiary i kościoła. Jakże więc uwierzyć, aby w przeciągu kilku tych wieków, górale tak się przenarodowili na Słowian, zwłaszcza gdy Kozacy Dońscy tyle mają właściwych plemiennych cech Słowiańskich, tak dużo nawet polskiego w charakterze i zwrotach językowych, iż niepodobna nie uznać ich za dzieci wspólnej matki, Słowiańszczyzny.

Nazwisko Czerkaska, stolicy Kozaków Dońskich, mogłoby także naprowadzać na domysł jakiegoś powinowactwa ich z Czerkiesami. Lecz zbija to historyczny wywód tego miasta. Wychodźcy od Dniepru, łącząc się z Kozakami Dońskiemi w XVIItym wieku, wspólnie napadali na Azów, fortecę pozostającą wtedy jeszcze w ręku Turków, i wyżej od niej nad Donem zbudowali Nowy Czerkask, na pamiątkę swej dawnej stolicy — Czerkaska na Ukrainie.

Bardziej zasadnicze i prawdopodobniejsze są domysły naszych Kozakoznawców o początku tego wojowniczego ludu. Kozaczyzna — mówią oni, powstała ze zbiegów różnych, tak Słowiańskich jako i Tatarskich plemion, zlewających się później w jeden lud oddzielny, osiadający na stepach niedostępnych i niepowabnych dla sąsiadów. Zapewne ciągłe wojny między potomkami Ruryka zrządziły liczne wychodźtwa, które się kierowały w niezmierzone te stepy, osiadając po nad Dnieprem i Donem. Tak więc prześladowani, lub niezadowoleni podczas zaburzeń i kłótni pomiędzy sobą udzielnych kniaziów Rurykowiczów, musieli położyć pierwsze początki potęgi Kozackiej, lubo ta nigdy osobnego państwa stanowić nie mogla. (D. n.)

Rozmaitość.

***Niespodziewane zdybanie.** Pomiędzy innemi anegdotami zdarzonemi w Paryżu podczas zjazdu teraźniejszego, pana Jules Lecomte, korespondent Belgijski, opowiada następujące dosyć pocieszne zdarzenie. Hrabia jakiś bawił z żoną u wód w Baden, podczas gdy szwagier jego z swoją połowicą pojechali do Paryża, i tylko ztamtąd pisywali do hrabstwa listy pełne zachwytu, opisujące tysiąc nocy i jednę nowego Babylonu. Owoż hrabia jednego poranku zaproponował małżonce wycieczkę do Paryża, aby przynajmniej przypatrzyć się albiońskim uroczystościom. Małżonka potępiła tę myśl stanowczo. Hrabia pełen uprzejmości dla hrabiny odstępuje projektu, tem więcej, że odbiera jakiś ważny list, który go wzywa na kilka tygodni do ojczystych penatów. Czuła małżonków para żegna się, pan hrabia odjeżdża. Hrabina zostaje samotna, a że jak wiemy, samotność jest rodzicielką najrozmaitszych konceptów, zbiera się nagle i — odjeżdża do siostry do Paryża na parę dni, aby się rozerwać na łonie kochającej siostry, a jeżeli się uda i coś zobaczyć i coś doznać z cudów paryzkich, bez tej czasem ciążącej i zawadzającej kontroli mężowskiej. Tu podziwiać potrzeba sympatją dwojga małżonków! Jednego wieczora pani hrabina przechadzając się po Bulwarze zdybuje się oko w oko z najdroższym małżonkiem, który w tej chwili właśnie z kapeluszem trochę na bakier, pogwizdując jakąś wodwilową arietkę, wchodził do oświeconych pokoi Café Anglais, w towarzystwie nie licznem, ale dobranem, bo w towarzystwie pięknej paryżanki o promienistem oku, pół gryzetki, pół baletniczki. Łatwo pojąć zdumienie obojga małżonków, głupią facyatę małżonka, i gniewny małżonki zapał. Pan Lecomte zakrywa koniec tej sceny grzeczną zasłoną, która jest przecie o tyle przezroczysta, że z po za niej wygląda sprzeczka dość żwawa, w której żona dotkliwie dosyć wystąpiła w obronie praw swoich pokrzywdzonych i to kosztem tej biednej trzeciej osoby, nadaremnie wzywającej pomocy pana hrabiego, który stał osłupiały, szukając po głowie konceptu jakiego, by się nim prawdopodobnie jakoś wykręcić. I Bóg wie, jakby się była zakończyła ta walka, wzbudzająca niepospolitą pociechę pomiędzy ciekawemi ulicznikami Paryża, lubiącemi namiętnie każde i to jeszcze gratis widowisko, gdyby jakiś młody egipcianin, jak teraz nazywają młodych wiercipiętów pewnej klasy mieszanej w Paryżu, nie był wziął pod opiekę i uprowadził piękną Paryżankę. Sceny małżeńskiej nie opisuje już dalej p. Lecomte, i opisywać nie może, bo się zapewne odbyła nie na bulwarowym asfalcie. Czułe i domyślne serca małżonków niech sobie same koniec dorobią. Opowiadanie swoje kończy p. Lecomte tą jeszcze szczególną uwagą, że rzeczywiście przez dni kilka taki panował rozgardjasz i chaos w Paryżu, iż nie było rzadkością widzieć rozerwane stadła, które zgubiwszy się, musiały się nawzajem aż w prefekturze policyi szukać.

* W Wilnie drukuje się nowy utwor *Syrokomli* pod nazwą: *Zgon Klonowicza.*

* U nas we Lwowie wyszedł już z pod prasy pierwszy tom *Słownika Lindego*, staraniem jak wiadomo Zakładu imienia Ossolińskich wydany. Zawiera przeszło 100 arkuszy druku. Bliższą wiadomość o tem wydaniu damy później.

* Jeden z najlepiej utrzymanych pomników historycznych w kraju naszym jest zamek w Podhorcach, własność hrabiego Leona Rzewuskiego. Obecnie malowidła na sufitach w salach tego zamku, przedstawiające sceny historyczne odnawiać będzie malarz zamieszkały we Lwowie pan Raczyński. O zdolności tego artysty do tej roboty nie wątpimy, równie jak i o sumienności z którą dokona tej pracy, nie zacierając na obrazach charakteru i pęzla pierwotnego.

* Do dzisiejszego numeru dołączone są listy prenumeracyjne zwrotne. Ci szanowni prenumeranci, którzy jeszcze nie zamówili Nowin na kwartał czwarty, raczą wcześnie to uczynić.

* W gazecie Warszawskiej rozpoczął się druk nowej trzechtomowej powieści Zygmunta Kaczkowskiego pod nazwą: Bajronista. O ile z pierwszych kilkunastu numerów wnosić można, rozwija się talent pana Kaczkowskiego w kreśleniu społecznego życia naszego coraz widoczniej, a powieść Bajronista wyżej stanie niż Wnuczęta i Dziwożona.

* Pan Kraszewski ukończył właśnie dla pisma naszego szereg gawęd literackich i artystycznych, stanowiących osobne dzieło, w których dotyka najważniejszych i najżywotniejszych kwestyi naszej literatury i społeczeństwa. Obecnie pisze dla Nowin powieść nową.

* Na dniu 7 września zasłabło 7 umarło 2. dnia 8 zasłabło 3 a umarło 3. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5575, a umarło 2825 osób.

Przyjechali od dnia 7. do 9. Września do Lwowa.

Kuczyński Leon z Lubowa. Kuczyński Felician z Korkowa, Hageu Gustaw br. z Wielkich ócz. Jaworski Mikołaj z Wiłowiec. Komarnicki Bolesław z Jackowiec. Zajączkowski Józef z Brzeżan. Niziński Karel z Krakowa. Łodyński Piotr z Remanowa. Strzelecki Bronisław z Zarwanicy. Ubysz Oktawiusz z Ostobusza. Kmicikiewicz Konstanty z Sambora.

PP. Ławrowski Julian ze Sambora. Radziejowski z Krakowa. Bobowski Juliusz z Przemyśla. Gołębski Jan z Juśkowiec. Skarbek Władysław hr. z Tarnopola. Paluszyński Józef z Uhnowa. Sozański Celestyn z Błażowa. Bochdan Kazimierz z Zadworza. Grochowalski Karol z Głuchowiec. Hoszowski Nereusz z Krakowa.

PP. Napadiewicz Alexander z Więckowiec. Perelli Jazef z Arłamowskiej woli. Tretter Hilary z Dźwiniacza. Gnoiński Alexander z Krasnego. Bocheński Józef z Głęboczka. Mrozowiecki Stanisł. z Sokołówki. Madejski Marian z Kochanówki. Jakubowski Łukasz ze Stryja. Załęski Leon z Kolbuszowiec. Zarzycki Max. z Truskawca.

Wyjechali od dnia 6. do 9. Września ze Lwowa.

PP. Nahojowski Jan do Kropiwnik. Kuliczkowski Jan de Żelechowa. Kielianowski Tytus z Żelechowa. Listowski Józef do Jasienowa. Dwernicki Andrzej do Topolnicy. Paszkudźki Ignacy do Przemyślan.

PP. Thun br. do Czerniowiec. Strzelecki Bronisł. do Wiszenki. Ubysz Oktaw do Sambora. Dzieduszycki Maurycy i Edward hr. do Strzałek. Madejski Marian do Kochanówki, Bąkowski Jan do Strzałek. Grochowalski Karol do Czyżykowa. Żurakowski Augustyn do Żółkwi. Żukiewicz Kon. do Śniatyna. Komorowski Alex. hr. do Zborowa.

PP. Iungh Jan do Krakowa. Komarnicki Bolesł. do Krakowa. Wereszczyński Józef do Czerniowiec. Golejewski Adam hr. do Stanisławowa. Onyszkiewicz Fortunat do Borussowa. Osmólski Władysław do Kuliczkowa. Wiszniewski Franc. do Tarnopola. Łucki Adam do Sarn. Górski Jan do Stojaniec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 10. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$114\frac{5}{8}$	Pożyczka 5%	$75\frac{7}{8}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	83	Akcye banku		$1002\frac{1}{2}$
Londyn za 1 funt szterl.,	11 4	Kolej północna		$2047\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	113	Obl. ind.		$60\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loterya		$98\frac{5}{8}$
Agio duk. ces.	$20\frac{5}{8}$	Pożyczka narodowa . .		81

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	22	złr.	5	kr	26
Dukat cesarski	„	5	„	28	„	5	„	32
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	16	„	9	„	20
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	47	„	1	„	19
Talar pruski	„	1	„	43	„	1	„	44
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	18	„	1	„	19
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	30		91	„	50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		70	„	42	„	71	„	5
5 proc. pożyczka narodowa		80	„	15	„	81	„	—

Zdarzyło mi się poznać dwie panienki, które w upłynionym roku szkolnym odbierały naukę w zakładzie panny Świeprawskiej we Lwowie na Nowej ulicy, a ze względu na bardzo ograniczoną liczbę dobrych zakładów tego rodzaju, uważam za obowiązek donieść o tym mało jeszcze znanym zakładzie naukowym.

W panienkach bowiem, które mi się właśnie poznać zdarzyło, znalazłem nie płytkie, powierzchowne a tym samym całkiem niepożyteczne wyobrażenia „o wszystkiem i niczem“ — ale zasadne i dobrze zrozumiane wiadomości; znalazłem nie nagromadzenie świetnych a czczych słów, ale dokładną znajomość rzeczy istotnie potrzebnych — znalazłem jednem słowem naukę, wyrachowaną nie na efekt, ale na prawdziwy pożytek—naukę dla przyszłych matek i obywatelek. Wypytałem się o wszystkie szczegóły i poznałem, że oprócz robót kobiecych, muzyki, rysunków i przedmiotów przepisanych stanowią dzieje i jeografia, osobliwie zaś języki, styl i literatura główny przedmiot nauki, udzielanej w każdej gałęzi przez ludzi zawodowych sposobem najpojętnicjszym, ale oraz sposobem takim, by posłużyć mogła za nieprzerwany wątek do najwyższej nawet doskonałości.

Jestem tego zdania, że daleko dokładniej przekonać się można o wykształceniu jakiejś osoby przez egzamin niespodziany, jak przy egzaminie oczekiwanym; że przy takim egzaminie osobliwie poznać można, jakie wiadomości stały się istotną i nierozłączną własnością tej osoby, zwłaszcza gdy się ten egzamin odbywa sposobem potocznej rozmowy, tak że pytana osoba dopiero po skończeniu spostrzega, iż odbyła egzamin.

Dlatego według własnego przekonania głośno mogę wypowiedzić, że zakład naukowy p. Świeprawskiej jest zakładem do kształcenia kobiet istotnie światłych.

Adolf Rychlicki.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**